

włosach i białej cerze. Prawdziwy typ rasowego Amerykanina.

Markiz da Santa Cruza i pan Gallmore usiedli na zaproszenie pułkownika i wmieszali się do ogólnej rozmowy.

Natomiast Wiliam Tharps od ich wejścia nie brał w niej udziału, rzucał tylko od czasu do czasu jakieś nieznaczące słówka, lub potakująco kiwał głową.

Wspart się wygodnie o poręcz głębokiego fotela i przez napół zmrúżone powieki obserwował obydwóch przybyłych, notując sobie każde ich słowo w pamięci.

W pewnej chwili wyprostował się nagle i rzucił pytanie donośnym, poważnym głosem:

— Co to był za pierścień, który pan d'Orwald zawsze nosił na palcu?

Na słowa te Hiszpan zadrżał lekko. Siedziałem blisko niego i drżenie to nie uszło mojej uwagi.

Wszyscy zaś ze zdziwieniem spojrzeli na detektywa. Wiliam Tharps nie widział nigdy w życiu zamordowanego, jakże więc mógł wiedzieć, że ten nosił pierścień i nigdy się z nim nie rozłączał?

— Ja... ja nic nie zauważyłem — wyrzekł spleśniając markiz da Santa Cruza.

— A kto panu powiedział, że pan d'Orwald nosił pierścień? — zapytał ze zdumieniem Amerykanin.

— Odkryłem to — odparł lakonicznie Wiliam Tharps.

Zwrócił się do pułkownika Ricotte, siedzącego po prawej jego stronie i powtórzył pytanie, dodając:

— Może pan pułkownik mnie w tym kierunku objaśnić zechce?

— Mało zwracam uwagi na klejnoty — odpowiedział niemniej zdziwiony pan Ricotte — i zapewne byłbym nie zauważył pierścienia naszego lokatora, gdyby ten pierścień rzeczywiście oryginalnością swoją i objętością nie przyciągał mimowoli mojego spojrzenia.

— Ten pierścień więc nie był podobnym do innych? — zaznaczył dobitnie detektyw.

— Nie oglądałem go bliżej, jednakże zdawał mi się być ulany z grubego złota i wyciśnięty był na nim znak jakiś.

— Znak? — zapytał Tharps z ciekawości.

— Tak. Jakaś mitologiczna postać, czy coś podobnego?

— Nie zapamiętał pan dobrze rysunku?

— Nie widziałem nigdy zbliżka tego pierścienia. Pan d'Orwald nie zdejmował go nigdy z palca, a przecież nie mogłem prosić go o pokazanie mi go choćby na kilka minut, bez popełnienia niedyskrecji.

— A łaskawa pani — zwrócił się detektyw do pani Donay — czy nie przypomina sobie rysunku pierścienia?

— Nie wiem, co ten rysunek miał przedstawiać — odpowiedziała młoda kobieta. — Zauważyłam tylko, że był bardzo artystycznie i delikatnie wykonany. Pan d'Orwald nosił ten pierścień na czwartym palcu prawej ręki.

— Oczywiście — mruknął detektyw.

— To jedno słowo, wymówione przez niego z przekonaniem, w jednej chwili rozjaśniło mi wszystko. Wiedziałem już teraz, dlaczego mój przyjaciel przykładał tak wielką wagę do tego klejnotu i dlaczego tak uporczywie dopytuje się o niego.

Pani Donay w pokoju zbrodni znalazła na podłodze palec odcięty. Ten palec został odcięty panu d'Orwaldowi razem z pierścieniem. Więc zabranie pierścienia mogło być motywem zbrodni.

Pani Donay bez głębszego znaczenia wspominała o „czwartym palcu prawej ręki“ swojego lokatora, ale teraz, po wyrzuceniu tych słów, ogarnęło ją nagłe wzruszenie. Młoda kobieta na równi ze mną zrozumiała teraz pytania Wiliama Tharpsa i przeczuła, że omawiany pierścień odegra ważną rolę w dalszym śledztwie.

W gabinecie zapanowało teraz ciężkie milczenie i trwało dosyć długą chwilę. Każdy z nas zastanawiał się w cichości nad niezbadaną i denotującą tajemnicą, która dotąd nie znalazła wyjaśnienia.

Pani Donay wsparła głowę na ręce i przerażeniem oczyma patrzyła przed siebie. Wiliam Tharps bębnił palcami po stole i otaczał się kłębamii niebieskawego dymu.

Atmosfera w pokoju stawała się coraz cięższa. W mózgu moim przewijały się raz po raz męczące pytania: Jakąż wartość mógł mieć ten pierścień, skoro dla zdobycia go posunięto się aż do zbrodni? Może posiadał on w sobie talizman jakiś, nieznany przez nas, a cenny ponad wszystko dla kogoś, który wiedział o tajemnicy z nim związanej, bo przecież przypuszczać nie było można, żeby jedynie dla jego materyjalnej wartości popełniono tak ohydny zbrodnie? Pierścień, jak mówił pułkownik Ricotte, był

złoty, lecz nie posiadał żadnego drogiego kamienia, oprócz niezrozumiałego rysunku!

Wiliam Tharps, rozmawiając przed chwilą ze mną, nazwał dramat, odegrany w pensjonacie pani Donay, „prostym aż do śmieszności“. Nie mogłem się teraz zgodzić w żaden sposób z tem jego twierdzeniem. Nie zabija się przecież człowieka i nie powraca w okolicznościach bardzo niebezpiecznych na miejsce zbrodni jedynie dla zabrania bezwartościowego pierścienia i usunięcia zwłok, jak to miało miejsce nocy ubiegłej. Spojrzałem na mojego przyjaciela, chcąc coś wyczytać z jego twarzy, ale ciągle uśmiechał się, jak gdyby zadowolony ze wzruszenia, jakie wywołał i palił swojego nieśmiertelnego papierosa. Nie wiedziałem już, co myśleć i zacząłem się na dobre niecierpliwić.

A może on sam nie wiedział, jak rozwiązać ten problem trudny i zawikłany? Przypuszczenie to mogło być trafne, chociaż, wyznaję, upakarzało mnie ze względu na niego.

Nareszcie uporczywe i męczące milczenie przerwał pierwszy pan Gallmore, Amerykanin.

— Ciekawa w każdym razie jest ta historia — wyrzekł donośnym, spokojnym głosem. — Bez wątpliwości pan d'Orwald musiał mieć zaciętych wrogów, którzy go zamordowali dla zemsty.

— To jednak nie tłumaczy okoliczności, że po zamordowaniu go usunęli jego zwłoki — rzekła żywo pani Donay. — Jeżeli to była zemsta, to zbrodniarze powinni byli poprzestać na wykonaniu jej.

Chciałem już odezwać się, aby poprzec uwagę młodej kobiety, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem, dając przejście człowiekowi, owiniętemu w szeroki, egzotyczny szlafrok, który komicznie wymachiwał rękami, wykrzykując głośno:

— Nareszcie znajduję was! — wołał przybysz rozgorączkowany i wylekniiony, wymawiając wyrazy twardym, niezrozumiałym akcentem — Szukam panów wszędzie... okradziono mnie... słyszyście państwo... okradziono mnie przed chwilą!...

Był to poważny profesor niemiecki Schoetten. Wszyscy zerwaliśmy się i pobiegliśmy ku niemu.

— Cóż takiego pan zgubił? — zapytał Wiliam Tharps władający doskonale językiem niemieckim.

Widziałem, jak z poza olbrzymich okularów profesora wściekłe spojrzenie wybiegło ku detektywowi, jakgdyby go chciało zmiażdżyć.

— Nic nie zgubiłem! — odparł w tym samym języku — Okradziono mnie! Słyszysz pan! Okradziono mnie w okropny sposób! Tutaj! Przed chwilą!

— I coż takiego wzięto panu? — pytał dalej Tharps spokojnym głosem.

— Walizę, gdzie miałem papiery!

Detektyw zatarł ręce nerwowym ruchem i uśmiechnął się lekko.

— Oh! oh! Skradziono panu papiery!... To nie bagatela!

— Pewnie, że nie bagatela! — odparł silnie zirytowany profesor.

— To nawet jest dosyć interesujące — ciągnął dalej Wiliam Tharps, ożywiając się cośkolwiek.

Powstał z krzesła i ujął przyjacielsko starego Niemca pod ramię.

— Niech mnie pan zaprowadzi do swojego pokoju, tak będzie najlepiej.

Profesor tego właśnie życzył sobie gorąco. Owijając się szczerze w obszerny swój szlafrok, szybkim ruchem skierował się ku drzwiom. Wyszliśmy wszyscy z gabinetu i podążyliśmy za nimi.

— Stało się nieszczęście, podczas kiedy na dole w salonie omawialiśmy wypadek dzisiejszy — objaśniał dalej pan Schoetten w rodzinnym swoim języku.

— Niech pan mówi tak, abyśmy wszyscy zrozumieli — zwrócił mu uwagę Wiliam Tharps. — Jesteśmy ciekawi, jak się to stać mogło. Czy dawno opuścił pan swój pokój?

— W chwili, kiedy przyjechali urzędnicy policyjni — odpowiedział profesor — i przez cały czas ich bytności bawiłem na dole. Przed kilkoma minutami dopiero udałem się do siebie i natychmiast zauważyłem brak moich papierów! Ah! Mój Boże! Co się to dziś dzieje w tym pensjonacie! Rano morderstwo, teraz kradzież! To nie do zniesienia!

— Mówił pan o walizie — przerwał wybuch jego gniewu Wiliam Tharps.

— Tak! Mówiłem o walizie. Wzięli mi ją także, ale na szczęście była pusta. Złodziej się złapie, jak ją otworzy i przekona się, że w niej nic niema.

— Jakto? Waliza była próżna?

— Tak!

— I zabrano panu pustą walizę?!

— Przecież mówię panu. Zabrali mi ją.

— Ale może przedtem zawierała coś cennego?

— Manuskrypta. — odparł sucho profesor.

— No! no! — pomrukiwał Wiliam Tharps, kręcąc głową.

Doszliśmy już do drugiego piętra. Pokój profesora Schoetten sąsiadował z pokojem pana d'Orwalda.

Dostrzegłem, jak przechodząc obok jego drzwi, pani Donay zbladła silnie i przerażeniem oczyma wpatrzyła się w nie.

Wiliam Tharps pierwszy wszedł do mieszkania profesora i rozejrzał się bystro wokoło.

— Gdzie znajdowały się pana papiery? — zapytał.

— Tutaj! — odpowiedział pan Schoetten, wskazując na niewielki stolik stojący przy oknie.

Poczem uniósł czarny surdut przerzucony przez poręcz fotelu.

— I tutaj także.

— A waliza?

— Waliza stała tam w kącie za łóżkiem.

Detektyw przyklęknął na podłodze i chwilę badał ją przez szkło powiększające.

— To była bardzo mała waliza — objaśnił po chwili prostując się i ręką wskazując wymiary.

— Taka była właśnie — potwierdził ze zdziwieniem profesor.

— Okna były zamknięte?

— Tak!

— A drzwi?

— Miałem klucz od drzwi przy sobie.

Zdziwienie odmalowało się na twarzy detektywa.

— Naprawdę? Miał pan klucz od drzwi przy sobie? — pytał z niedowierzaniem.

— No, przecież już panu mówiłem — odparł obrażony tem naleganiem profesor.

Uśmiechnąłem się mimowoli, dostrzegłszy jego chmurne i gniewne spojrzenie.

Pan Schoetten jednak zwrócił się do służby nadeszłej i do gości pani Donay, prosząc o potwierdzenie swoich słów.

Wszyscy jednogłośnie przytaknęli, że profesor miał klucz w kieszeni, kiedy szedł na górę. Panie Bertonneau i pan Wilson, mieszkający na tem samym piętrze, towarzyszyli mu aż do drzwi jego mieszkania. Henryk, służący, również znajdował się wówczas na korytarzu. Widzieli więc dokładnie jak profesor wyjął klucz z kieszeni, otworzył drzwi i wszedł do pokoju. I zanim jeszcze drzwi się za nim zamknęły, zaalarmowały ich jego wołania i krzyki.

Obydwaj mężczyźni natychmiast wbiegli do mieszkania, podczas kiedy panie Bertonneau w popłochu uciekły przez korytarz.

— I co pan zauważył, wbiegłszy do pokoju pana Schoetten? — zapytał Wiliam Tharps pana Wilsona.

— Profesor stał na środku pokoju, jak zahypnotyzowany i palcem wskazywał wysuniętą szufladę stolika powtarzając bez przerwy:

— Złodzieje! złodzieje tu byli!... zrabowali mnie!

— Okna były podobno zamknięte? — indagował dalej Wiliam Tharps — szczelnie zamknięte?

— Sam się o tem osobiście przekonałem — odparł, uśmiechając się, pan Wilson.

W obecności Anglika i służącego profesor gorączkowym ruchem podszedł do stolika i nerwowo zaczął przetrząsać szufladę.

— Nędznicy! — zawołał z oburzeniem — Bandy! Ukradli mi także moje plany!

Poczem podbiegł do swojego surduta, leżącego na fotelu i przeszukał wszystkie kieszenie, również bezskutecznie.

Wówczas to oburzony do najwyższego stopnia zeszedł na dół w zamiarze poszukania detektywa i poinformowania go o dokonanej śmiałej kradzieży w swoim mieszkaniu.

Wiliam Tharps słuchał z zajęciem tych zeznań i machinalnie zacierał ręce z wyrazem wielkiego zadowolenia. Niezwykły blask ożywił jego chudą twarz i zdawało się, że przypadek, który spotkał profesora, nie budził w nim żadnej przykrości i niepokoju.

Po chwili zwrócił się do pana Schoetten i zapytał żartobliwie:

— Więc twierdzi pan, że ukradziono mu plany?

Profesor skinął głową i bezradnie ręce rozłożył, nie mogąc z oburzenia słowa przemówić.

— Ważne plany? — nalegał dalej detektyw.

— Ach! panie — wybuchnął w końcu profesor — Plan, notatki, rysunki, zeszyty, wszystkie owoce mojej ciężkiej pracy i długoletnich badań!

Wiliam Tharps bez śladu współczucia przyglądał się bacznie rozniewanemu staruszkowi.

— I papiery osobiste pana również zginęły, nieprawdaż? Paspordy, świadectwa, bilety wizytowe?

— Wszystko! wszystko!

Profesor Schoetten trząsł się z oburzenia i coraz energiczniej wymachiwał rękami.

— Nikczemni! podli! Skradli mi dziesięć lat życia! Tyle pracy, tyle trudów!

(Ciąg dalszy nastąpi)